

Eliza Orzeszkowa

PANNA RÓŻA



1909

*** A Distributed Proofreaders Canada eBook ***

This eBook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the eBook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the eBook. If either of these conditions applies, please check with an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. **If the book is under copyright in your country, do not download or redistribute this file.**

Title: Panna Róża

Date of first publication: 1909

Author: Eliza Orzeszkowa (1841-1910)

Date first posted: February 26 2013

Date last updated: February 26 2013

Faded Page eBook #xx

This eBook was produced by: David T. Jones, Michal Jablonski & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpcanada.net>

(This project created from scans generously provided by the Polona National Digital Library at <http://www.polona.pl/dlibra>)

UWAGI DO WYDANIA ELEKTRONICZNEGO

Zachowano oryginalną ortografię i interpunkcję, również w wypadkach, gdy odbiegały one od współcześnie przyjętych. Poprawiono natomiast omyłki, które wyglądały na błędy drukarskie. Kursywę w oryginale w wersji tekstowej oznaczono podkreśleniami. Pozostawiono bez zmian wstawki obcojęzyczne (również w wypadkach, gdy nie były one poprawne gramatycznie, co zresztą zapewne nie jest bez znaczenia dla fabuły). Dodano również prostą „okładkę” z racji niezachowania się oryginalnej.

E. ORZESZKOWA

PANNA RÓŻA

WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Jak żyję, nie doświadczyłam większego zdziwienia nad to, którem przejęło mnie opowiadanie, czy wyznanie tego zacnego, wykształconego, przyjemnego, nadewszystko zaś bardzo, bardzo majątnego pana Seweryna Dorszy. Kiedy taki człowiek mówi, wierzyć trzeba; a jednak któżby przypuszczał, któżby mógł się spodziewać? Więc słusznym jest rozkaz, dany człowiekowi, aby nie czynił się sędzią bliźniego swego? Tak, tak! Bo czasem na nieznanem dnie czyjegoś serca leży w ukryciu taki brylant, że niech się przed nim i Książę-Rejent^[1] z angielskiej korony schowa! Tylko że samo jedno widzi go Boskie...

Chyba jedno Boskie oko widzieć mogło, że ta panna Róża posiada w ogólności jakikolwiek brylant, gdyż dla ludzkich oczu jest to sobie taka niezajmująca i nic nie znacząca figurka, co to ją można sto razy widzieć, a niespodziewanie spotkawszy, nie poznać, i sto razy spotkać, a ochoty do najmniejszego zbliżenia się nie doświadczyć. Ani młodości, ani wdzięków, ani wyższej inteligencji, ani stanowiska w świecie — słowem: nic z tego wszystkiego, co może zbliżającemu się człowiekowi przynieść zysk pod postacią jakąkolwiek, więc też na zbliżenie zasługiwać. Bo tak: jeżeli kobieta jest piękna, choćby nieszporna, choćby tylko młoda, to tam człowiek różnych przyjemności kapitałnych lub pomniejszych spodziewać się od niej może; jeżeli znowu posiada inteligencję niezwykłą, dowcip, talent, to oprócz konwersacyi^[2] przyjemnej i tego miłego podrażnienia ciekawości, które każda niezwykłość obudza, jest jeszcze w perspektywie^[3] niejaki odblask, rzucany przez wszelką rzecz błyszczącą na tych, którzy się do niej przybliżają. Zresztą piękny umysł — to w terażniejszych czasach najczęściej, dla kobiety zarówno jak dla mężczyzny, i piękna pozycja^[4] w świecie; a jeśli kobieta znajdzie się w posiadaniu tej ostatniej, nie przez samą siebie, ale przez męża — i tak dobrze, bo skąd wzięta, to wzięta, byle była, a już zaraz łatwiej dostrzedz różne brylanty i w sercu i w głowie. Lecz istnieje cała kategoria^[5] kobiet takich, iż gdyby nagle rozwiały się w powietrzu i zniknęły, nikt nie spostrzegłby, że już ich niema, ani, spostrzegłszy, po nich westchnął. Bywa to nawet często pracowite, uczynne, usługne, jakby wiecznie przepraszające za to, że żyje na świecie; a pomimo to szacunek i sympaty^[6] ku sobie nie obudza. Ej, nie! Siew uczuć jest zbyt drogi, aby go rozrzucić po takich jałowych dolinkach, gdy plony wydać może tylko na gruntach wysokich i żyznych. Do takich dolinek należy właśnie ta panna Róża, która, w charakterze ubogiej krewnej i zarządzającej gospodarstwem ochmistrzyni, przebywa w powszechnie znanym i szanowanym domu naszych zacnych, miłych, gościnnych, majątnych państwa Januarostwa. Mówię: naszych, bo mam zaszczyt sąsiadować z Dworami i poczytywać się za blizkiego znajomego, prawie za domownika ich właścicieli. Ładny majątek i — bez długów. Samo już to, że pan January nie ma długów, coś dla sąsiadów jego znaczy, bo każdemu jest przyjemnie

zostawać w znajomości, a jeszcze i poufałej — z fenomenem^[7]. Gdyby brat pana Januarego żył, z majątkiem byłoby nieco inaczej, bo musieliby się nim podzielić. Ale ten biedny Broniek od dawna już przestał po tym świecie chodzić. Dlaczego i jakim sposobem przestał? — o tem dawniej w Dworach ludzie mawiali po cichu a potem mówić przestali, zapomnieli; pamiętały może sosny lasu, który zaczynał się bliźutko od dworu, a ciągnął się kędyś, aż bardzo daleko; pamiętać też musiała panna Róża, bo, wyobraźcie sobie państwo rzecz trudną do wyobrażenia, ale prawdziwą, że była ona niegdyś zaręczona z rodzoniutkim bratem naszego majątnego i kochanego pana Januarego, z tym biednym Bronkiem, co to tak marnie... No, mniejsza o to; ale było potem powszechnie wiadomem, że kiedyś panna Róża była narzeczoną jednego z najprzystojniejszych i najmajątniejszych w okolicy naszej kawalerów. *Sic transit gloria mundi*^[8].

Jednak, prawdę mówiąc, i teraz jeszcze, gdyby się kto przypatrzył uważnie, mógłby w niej dostrzedz nietylko ślady, lecz może i pewne przetrwałości dawnej urody. Nie będąc już młodą, i bardzo też starą jeszcze nie jest, tylko że nic wcale nikogo do przypatrywania się jej nie skłania, a skądinąd znowu taka panna Róża, jak świeczka przy słońcu, musi stawać się niewidzialną wobec takiej pani Januarowej. Bo okolica nasza prawdziwie pochłubić się może posiadaniem tej kobiety, różowej jak zorza, białej jak mleko, hożej jak młoda pani, okazałej jak królowa, a w dodatku mądrej... oho! Żeby była bardzo piękna — to nie: nosek za krótki, buzia za szeroka, włosy koloru blond, za rzadkie, ale cera, jak róża ze śniegiem, wzrost bujny, ciała białego dużo, wargi koralowe. Żeby była wykształcona, albo utalentowana — także nie; ale jest w niej sprycik taki, co to sam przez się stanowi pewien gatunek mądrości i to nie byle jakiej, bo prowadzącej do posiadania różnych dóbr tego świata... no, naturalnie, że nie tamtego, zaziemskiego, niepewnego, ale tego, tutejszego, praktycznego, jedzącego, pijącego i smaczno sypiającego świata. Już pierwszym dowodem tego spryciku było jej wyjście za mąż za pana Januarego.

Wdowiec z trojgiem dzieci, z włosami szpakowatymi a wąsem zupełnie już białym, ze zbytecznymi rumieńcami na tłustej twarzy i ze zbyteczną tuszą dla niewysokiej figury, nasz kochany i szanowany pan January zakochał się w dziewczynie, do czerwcowego południa podobnej, ale złamanego szeląga posagu nie mającej. Może zresztą i za wiele powiedziałem, że zakochał się, bo i wiek niebardzo był już po temu i nigdy nie należał do rzędu tych, którzy w niebieskich migdałach smakują. Ale w oko mu wpadła, podobała się, że zaś Dwory są majątkiem dobrym i nieodłużonym: dlaczegóż miałyby odmawiać sobie jednej przyjemności więcej w tem tak krótkim i utrapionem życiu ziemskim? A jeżeli to, że się o pannę Iżę oświadczył, było bardzo zrozumiałem, głupcy tylko dziwić się mogli, że ona te oświadczyzny przyjęła. Byli tacy, którzy dziwili się, i tacy, którzy się martwili. Jakiś młokos, na małym folwarczynie siedzący, który szalenie się w niej kochał, tak się jej postanowieniem zalterował^[9], że aby w sąsiedztwie niewdzięcznej bohdanki nie pozostać, folwarczynę sprzedał i na skraj świata pojechał. Ale to wszystko jest pustym i czczym romantyzmem. Fakt zaś tak się przedstawia, że pani Januarowa żyje sobie w Dworach, jak królowa, otoczona dostatkami, elegancyami, szacunkiem powszechnym i dworem, którego mąż jej jest pierwszym marszałkiem. Bo i to wiedzieć trzeba, że nasz rozsądny i skądinąd energiczny pan January, bardzo, bardzo zostaje pod wpływem żony; niektórzy utrzymują nawet, że cokolwiek jej się boi. Żeby się bał — nie myślę, bo przecież majątek do niego należy, a ona ma na nim tylko prawna część i dożywocie; ten zaś, do kogo majątek należy, jest panem położenia i nikogo bać się nie potrzebuje. Ale trzydzieści lat różnicy w wieku małżonków — to istotnie racya, wytwarzająca pewną, że tak powiem, skłonność do ustępstw ze strony tej, na której niekorzyść różnica ta wypada. Bo to i energii mniej znajduje się po tej stronie, i zawsze jakieś mimowolne poczuwanie się do winy, czy do niższości. Więc też i w tem małżeństwie jeżeli kto ustępuje przed kim, to on przed nią, jeżeli kto znosi cokolwiek od kogo, to on od niej: tak się już z tem pani Januarowa urządziła; a przecież każdy przyzna, że największa mądrość człowieka polega na takim urządzeniu się, aby, o ile podobna, najmniej znosić. Są tacy, którzy utrzymują, że cierpienia mają swoją dobrą stronę, kształcą serce, hartują ducha i coś tam jeszcze w tym rodzaju robią. Bajki! Zdrowie marnują, życie skracają, zmarszczki do twarzy napędzają, apetyt niszczą, — i każdy, jak może, tak od zbawienego pieprzu tego ucieka, tylko że nie każdy uciec potrafi. Nasza kochana pani Januarowa potrafiła, więc słusznie mówię, że choć niby nie tak to bardzo wykształcona i rozumna, jednak — rozumna! Ale powracam

do panny Róży. Ile razy wypadkiem stanęła w mojej obecności obok pani Januarowej, zawsze przychodziło mi na myśl: jakie to jednak bogactwo kontrastów^[10] na tym świecie istnieje! Nie jest bardzo małego wzrostu, ale, że ogromnie zeszczupiała, twarz ma bladą i ubiera się zawsze w szarą, beżową^[11] suknię: więc przy okazałej, świeżej jak zorza, świetnie wystrojonej pani Januarowej wygląda, jak niteczka wata i spłowiła, obok rozwiniętej w całej okazałości sztuki matery jaskrawej, mięsistej i szeleszczącej. Stosunek pomiędzy dwiema temi paniami jest, naturalnie, taki, jakim być musi pomiędzy zwierzchniczką a podwładną, — kobietą, której los sprzyja, i taką, dla której nie okazał żadnej sympatii. Kiedy przed ożenieniem się pan January prosił narzeczonej, aby zgodziła się na pozostawienie panny Róży w przyszłym swym domu, bo jest krewną jego i zupełnie ubogą, a w domu tym wyhodowaną, teraz zaś dzieci jego, osierocone po matce, hodującą — panna Iza chętnie na prośbę tę przystała, mojej siostrze zaś, z którą była i jest w wielkiej przyjaźni, zwierzyła się potem:

— A cóż mi to szkodzi, że ta stara panna będzie w domu? Owszem, zajmie się gospodarstwem i mnie przynajmniej nudne kłopoty z głowy zdejmie. Przytem te dwie dziewczyny... chłopak nietylę, bo większy, ale te dwie dziewczyny... jeszcze małe, mogłyby mi nieraz kością w gardle stanąć. Niech tam ona dogląda ich i różnych tam potrzeb ich pilnuje. Owszem, niech zostanie w domu; jeszcze jej pensję jaką wyznaczę.

Ale panna Róża chciała z początku inaczej trochę stosunek swój do pani domu zrozumieć. Gospodarstwem i młodszymi dziećmi zajmować się — owszem, z całego serca, z wdzięcznością nawet za pozwolenie pragnęła. Pensyjkę przyjęła także, bo i dawniej, nieco nawet większą, za te same czynności od krewnego otrzymywała. Tylko że oprócz pracy z jednej strony, a pensyi z drugiej, coś innego chodziło jej po głowie. Wiem o tem wszystkim szczegółowo od siostry mojej, a powiernicy pani Januarowej. Otóż niebawem po przybyciu do Dworów młodej pani panna Róża przykłęka u jej kolan i zaproponowała, aby były, to jest, aby ona i pani Januarowa, były sobie siostrami. Mówiła przytem o swoim przywiązaniu do pana Januarego, do domu, do dzieci, i o tem, iż żonę jedynego krewnego swego gotowa jest pokochać, jak siostrę. Pani Januarowa zaś, z odznaczającym ją zazwyczaj rozsądkiem, odpowiedziała:

— Moja panno Rózo, ja mam dwie siostry i nie powiem, abyśmy, razem u papy^[12] będąc, bardzo sobie życie nawzajem uprzyjemniały! Ja pannę Różę szanuję i w domu moim pani mieć będzie wszelkie wygody, ale próżnych słów nie lubię. Kochanie, siostry! pocóż to mówić, skoro my z panną Różą ani kochać się nie potrzebujemy, ani siostrami nie jesteśmy. Najlepiej żyć bez fikcy^[13].

Kiedy projekt zsiostrozianienia się w ten sposób upadł, panna Róża w jakiś czas potem poprosiła, aby pani Januarowa ją nazywała i siebie nazywać pozwoliła po imieniu:

— Te wieczne tytuły, takie chłodne!... Mów mi: Róziu, ja będę mówiła: Izo. To cieplejsze i zbliza.

— Dobrze — odpowiedziała pani Iza. — Mnie wprawdzie nie zimno i nie wiem, co od tego zależy, czy kto kogo tak, albo inaczej nazywa. Ale jeśli to pannie Róży zrobi przyjemność...

A przy najbliższej sposobności przemówiła po dawnemu: Panno Rózo! Ta zrozumiała i nigdy już więcej tego przedmiotu nie dotknęła.

Jednak takie stworzenia cichutkie i bledziutkie bywają czasem bardzo uparte: coś w nich siedzi, jakaś niewyekspensowana^[14] sympatia, czy inna *fikcy*a w tym rodzaju, i wiecznie pobudza do prób, które się też wiecznie nie udają. Tak i ta panna Róża: niezrażona kolejnem upadaniem swoich projektów^[15], jeszcze przez czas jakiś próbowała młodą panią domu wziąć na czułość; do tytułu pani dodawała przymiotniki takie, jak: droga, kochana, złota, jedyna, dogadzała jej, jak małemu dziecku albo staruszce, uwielbiała jej młodość, świeżość, urodę i ten zdrowy rozsądek, od którego sama o sto mil z okładem oddalona była. Pani Januarowa przysługi i uwielbienie przyjmowała, jako rzecz zupełnie sobie przynależną, przymiotniki, towarzyszące tytułowi *pani*, pobłażliwie zносиła, lecz

dalej na tej drodze zachodzić nie miała zamiaru, ani chęci. To też ilekroć panna Róża w jakiś żywszy i wyraźniejszy sposób dążenia swe do wymarzonego zbliżenia objawiła, tylekroć pani Januarowa powstrzymywała ją słowami:

— Dobrze, dobrze, moja panno Różo, tylko bez tych fiksacyi^[16].

Nigdy nie nabyłem pewności, czy pod tym ostatnim wyrazem pani Iza rozumiała zmyślenie czyli obłudę, albo też obłąkanie czyli fiksacyę; wymawiała go zresztą zawsze z chwilową zmarszczką na białem czole i lekkim wykrzywieniem koralowej wargi, które razem wzięte stanowiły tak zwany grymasik, bardzo ładny, i z którym jej było bardzo do twarzy. Wolno przecież każdej ładnej kobiecie robić grymasiki, z którymi jej do twarzy! Ale na pannę Różę wszystko to wywarło wkrótce wpływ stanowczo zabijający złudzenia: ochłodła i ucichła, bardzo ucichła, tem bardziej, że i pan January, który dawniej gawędził z nią czasem i przyjaźń jej okazywał, teraz, zajęty młodą żoną i ciągłymi gośćmi, prawie przestał do niej mówić, stopniowo prawie przestał ją widzieć. Z początku to jeszcze, dawnemu przyzwyczajeniu wierny, niekiedy przysiadł się do niej, albo na »dzień dobry« i »dobranoc« w rękę ją całował; ale pani Iza, cichutko i ze swoim ładnym grymasikiem, zaraz go przestrzegła:

— Mój Janusiu, tylko bez tych fikcyi!

Czasem mawiała: bez tych czułości! Więc wystrzegać się zaczął, rychło dawne przyzwyczajenie utracił i do panny Róży odzywał się tylko w razie jakiejś potrzeby gospodarskiej — krótko, sucho, zwyczajnie jak do osoby, która pełni w domu jakąś czynność, ale sama przez się zupełnie nic nie znaczy.

Więc panna Róża ucichła, ale tak doskonale, że choć często bywałem w domu szanownych państwa Januarostwa, nie pamiętam, czy przez ostatnie kilka lat dwa razy głos jej usłyszałem. I trudno, zaprawdę, było, aby mówiła, kiedy nikt do niej nie mówił. Jednakże dom w Dworach jest z całego sąsiedztwa najbardziej ożywiony. Czemużby nie? Pokoje duże i ładnie umeblowane, jest więc czem oddychać i na czem wygodnie siedzieć; przyjęcie zawsze wyśmienite, bo i stać na to, i sam pan January zna się na kuchni, jak rzadko kto; gosposia młoda, hoża, pasyami lubiąca grać w winta^[17]. Oboje państwo w Dworach przepadają za wintem, ale ona jeszcze więcej, niż on. Są tacy, którym się to nie podoba. Powiadają, że to jakiś świeżo importowany^[18] do nas zwyczaj, aby białogłowa młoda, silna, choć drzewo rąbać, połowę życia, albo i więcej, przy kartach spędzała. Dawniej, powiadają, tylko stare jejmoście, gdy wnuki do snu zakołysały i różaniec odmówiły, zasiadały ze starymi jegomościami do marysza^[19] na krótką godzinkę. Wszystko to prawda; ale naprzód, co nie jest, nie pisze się w rejestr^[20], — następnie jeden wiek do drugiego niepodobny, a nasz, to panie dobrodzieju, właśnie jest wiekiem dekadentyzmu^[21], ateizmu^[22], kosmopolityzmu^[23], melancholii^[24], panamy^[25] i winta. W czasie, o którym opowiadam, Panama wprawdzie jeszcze nie nastała, ale wint już panował. Rzadki też bywał i bywa w Dworach taki dzień, żeby choć parę osób z sąsiedztwa lub z poblizkiego miasta nie przyjechało, a nierządno zjeżdża się kilka, albo kilkanaście. Grywają do godziny drugiej, trzeciej po północy, poczem rozchodzą się do snu, z którego powstają około południa. Na skróconej w ten sposób przestrzeni dnia mieści się jednak mnóstwo rzeczy wyśmienitych, jako to: wice-śniadanie, śniadanie, obiad, podwieczorek, wieczerza, wice-wieczera. W przestankach trochę rozmowy, trochę fortepianowej muzyczki, w piękną pogodę spacer, a zresztą — najmilszy ze wszystkiego wint. Wszyscy, ilu nas tam bywało, z wyjątkiem pana Dorszy, lubiliśmy go bardzo, ale pani Januarowa najbardziej; bo kobieta zawsze, gdy co lubi, albo czego nie lubi, to już nie żartem. Siostra moja, Idalcia, raz, śmiejąc się, powiedziała:

— Ten wint to kochanek Izy!

I prawdę powiedziała. Niema na świecie człowieka, któryby nie potrzebował wykspensować^[26] na jakikolwiek przedmiot swojej energii i uczuć, a pani Januarowa, nie ekspensując ich wiele na nic i na nikogo... chociaż, gdyby ten najzaciejszy pan Dorsza przy całym rozumie swoim nie był głupi, to może... Ale o tem potem. Dość, że nasza kochana i miła gosposia

w Dworach naprawdę nie była wcale gospożą. W pokoju panny Róży stała na komodzie skrzynka pełna kluczyków, na stole leżały rachunkowe książki. Często w czasie rozmowy, albo i gry w karty, zdarzyło się wypadkiem spojrzeć przez okno. Deszcz, szaruga, błocko, albo śnieg, mróz, zawierucha taka, że całe powietrze szumi, wyje i świszcz: a kobiecina wążła, w szarej sukni, w watowanym kaftanie, biegnie przez dziedziniec do śpichrza, pralni, piekarni, mleczarni, do oficyny z kuchnią i do tej, w której się znajdują pokoje dla gości. Za nią ślad w ślad czasem kucharz z rondlami, czasem praczek z koszem pełnym bielizny, czasem inni służący rozmaici. Raz, widząc ją biegnącą tak po śniegu, zauważyłem, że przy czarnym kaftaniku ma coś mocno różowego. Aż tu i ktoś inny, przez okno patrzący, spostrzeżenie wyraził:

— Czy to panna Róża dwa różowe tulipany ze śniegu wyrwała i niesie?

Młodsza z domowych pańienek, blondyneczka, Marynia, smutnym głosikiem objaśniła:

— Ej, nie, to u cioci ręce takie czerwone od chłodu. Biedna ciocia!

A nasza kochana pani Januarowa, która właśnie w tej chwili na zielonym stoliku koronkę rozkładała, rozmowę tę usłyszawszy, rzuciła spojrzenie na swoją rączkę dość dużą, lecz jak mleko bieluchną, jak pączek tłusciuchną, pierścionkami świecąca, prawdziwie apetyczną rączkę dobrze wykarmionego leniuszka.

Przed wszystkimi, tak licznymi w tym gościnnym domu, zasiadywaniami do stołu panna Róża uwija się po jadalni, dozoruje nakrycia, dyryguje^[27] lokajami, co moment na zegarek patrzy. To też gdy, z panią domu na czele, goście wchodzą do obszernej i wyelegantowanej sali, na stół nakryty aż miło spojrzeć: takie na nim wszystko porządne, staranne, przyozdobione, wyelegantowane. Najemne ręce nigdy-by tego nie dokazały, aby codziennie i tyle razy na dzień tworzyć takie arcydzieła porządku i dobrego gustu. Twórczyni zaś tych arcydzieł siada sobie cichuteńko przy samym końcu stołu i milczy, jak ryba. Gwarzymy, bywało, wszyscy; śmiejemy się; zajadając i popijając smaczne rzeczy, wpadamy w złote humory; a ona je tyle, co ptaszek, dziobnie czasem coś z talerza i zaraz sztucce odkłada, a oczami albo ruchy lokajów śledzi, albo, przekonawszy się, że usługa idzie jak najlepiej, utkwii je w talerz i siada zamyślona, jakby wcale do tego świata nie należała. A właśnie wtedy wzrok mój, nie wiem, jaką siłą pociągany, nieraz zwracał się ku niej. Czy żal mi jej było? Czy ciekawość mię brała: co też ta kobieta czuć i myśleć może? Czy przypominał mi się jej dawny narzeczony, ten przystojny, miły, majątny Bronek? Nieznacznie przypatrywałem się gładkim pasmom czarnych włosów, które ocieniały jej czoło, zawsze nieco pochylone i, jak pajęczyną, drobnymi zmarszczkami osnute, a w delikatnym owalu policzków, w długości opadających na nie rzęsy czarnych, w zarysie warg, cierpliwie zamkniętych, dostrzegałem widoczne jeszcze przetrwałości dawnej urody. Gdyby ją tak ktokolwiek odchuchał, rozweselił, uleczył, ładnie ubrał, jeszcze niejedna o wiele młodsza schowałaby się przed nią mogła. Tymczasem jednak coraz więcej chudła i żółkła; a ponieważ nasza pani Januarowa coraz większą nieżyczliwość jej okazywała, więc dla wszystkich stawała się coraz mniej dostrzegalną, aż nakoniec ja jeden tylko spostrzegałem jeszcze, że żyje na świecie, i to ukradkiem.

Nikt oprócz mnie i siostry mojej, Idalci, nie wiedział o przyczynie nieżyczliwości, która dla tej nic nie znaczącej osóбки powstała w sercu powszechnie szanowanej i kochanej pani domu. Otóż przedewszystkiem powiedzieć muszę, że okolica nasza, dzięki zbiegowi pomyślnych okoliczności, jest dotąd wyjątkowo bogatą w obywatelstwo wiejskie zamożne i posiadające mnóstwo zalet towarzyskich i innych. Ale, jak topól włoska nad wysokie nawet lipy i klony, tak nad sąsiadów swoich wysoko w górę wystrzela pan Seweryn Dorsza; bo o czym tylko zamarzyć, znajduje się w tym człowieku: piękność postawy i twarzy, inteligencja wyższa, kryształowa, proszę państwa, uczciwość i zacność, a do tego duży, formalnie już pański majątek. Z blasku czarnego oka i ze śniadej cery nikt-by w nim pięćdziesiątki nadchodzącej, albo już i nadeszłej, nie odgadł; a choć siwizna srebrzy się gdzieniegdzie we włosach kruczonych, i na czole zebrało się trochę zmarszczek, kobiety utrzymują, że mu to tylko uroku dodaje, świadcząc o wielu myślach, pracujących w tej pięknej głowie, i o cierpieniach, które przeżyć musiała, lecz pod nimi się nie ugięła ta silna postać męska. W domu swoim pan Dorsza posiada bibliotekę, obrazy, różne inne drogie i rzadkie rzeczy;

w majątkach gospodaruje znakomicie, a sąsiadom służy wszystkim, co ma: radami, książkami, pieniężnemi pożyczkami i t. d. Sąsiedzi wzajemian szanują go bardzo, ale żeby bardzo kochali, to nie powiem. Bo kto do serc ludzkich rzeką Cnotą płynie, nie dopłynie. Prosta do nich droga i najpewniejsza na gospodę Wesołość i na wielkie miasto Pospolitość. Przytem różnice gustów bardzo często miłości na przeszkodzie stoją. Pan Dorsza wiele rzeczy, które sąsiedzi jego lubią, nie lubi, i odwrotnie. Sztwywny nieco, zawsze czemś bardzo zajęty, rzadko z kim zaprzyjaźni się i spoufali. Więc jednych onieśmiela, innych nudzi, innym jeszcze w zabawie przeszkadza. Jednak pomimo to nikt nigdy złego słowa o nim nie odważył się powiedzieć, a znajomość z nim wszyscy poczytują za zaszczyt — to raz, a powtóre, za źródło ratunku w złej przygodzie.

W Dworach pan Seweryn bywał nieczęsto, i zachowanie się jego w tym powszechnie lubionym i poważanym domu było dość niezwykle. O ile my wszyscy admirowaliśmy^[28] panią Januarową za jej okazałą figurę, świeżą cerę, mądry sprycik i wyborne granie w winta, o tyle on okazywał się dla niej zupełnie obojętnym. Grzeczność wszelką zachowywał, naturalnie, ale więcej nic a nic. Rozmawiał z nią jak najmniej i bez upodobania, a co już nam w głowach pomieścić się nie mogło, to, że, witając się z nią i żegnając, w rączkę jej nie całował. Weźmie, bywało, tę bieluchną i tłuściuchną rączkę i, ledwie dotknąwszy, wypuści ze swej ręki. A ona aż drży z chęci, aby surowe jego usta pocałunek na niej złożyły, może dlatego właśnie, że surowe i do pocałunków nieskłonne.

Razu jednego siadaliśmy do obiadu, gdy przed gankiem zatrzymał się powóz pana Dorszy. Patrząc ja, aż nasza pani Januarowa oblewa się takim rumieńcem, jakby kto garnek kipiątku na nią wylał; aż czoło, uszy i szyja stanęły w ogniu. Wnet przecież to minęło, i gdy szanowny sąsiad, zaproszony do stołu, naprzeciw niej miejsce zajął, siedziała jakaś taka onieśmielona, milcząca, inna niż zwykle, jakby nam ją kto odmienił. Przez cały obiad ani razu, mówiąc, dumnie główki w tył nie odrzuciła, ani jednego ładnego grymasiku nie zrobiła, żadnej przestrogi mężowi nie udzieliła; bo zazwyczaj przestrzegęła go z cicha, ale często. Gdy puszczał się z kimś w niezwykłą serdeczność, szeptała: Janusiu, bez tych fikcyi! albo: bez tych czułości! Gdy chciał nożem dopomódz sobie w jedzeniu, prawie do ucha mu mawiała: Janusiu, bez noża! Gdy nad podawanemi potrawami zaczynał czynić dodatnie albo ujemne uwagi, prosiła: Janusiu, nie przy gościach! A w obecności pana Dorszy nic: ani dumy, ani grymasików, ani przestroóg mężowi, ani przekomarzania się z biesiadnikami o sposób, w jaki dziś który w winta zagrał; o to, czy ten w tamtej, a tamta w tym kocha się albo nie kocha; o to, czy sąsiadka, o której mowa, ubiera się, jak księżna, czy jak koczokodan. Milczy, oczki spuszcza i — patrzcie państwo! — raptem o książkach mówić zaczyna. Głupstwa plecie, jednak plecie, bo wie, że pan Dorsza literat wielki, więc choć małą literatką okazać mu się pragnie. Po obiedzie w winta grać nie chce; męża do kart sadza, a sama z panem Dorszą rozmawia. Trzeba przecież, aby ktokolwiek z gospodarzy zabawiał gościa, który sam jeden z całego towarzystwa w karty nie gra. No, myślę sobie, jeżeli nasza pani Januarowa partyjki się wyrzeka, to już chyba... Ale cóż dziwnego? Pan January, gdy przed panem Sewerynem stanie, to jakby krzak jałowcu przed silnym dębem siadł. A zresztą, któż zgadnie, co czasem jednego człowieka ku drugiemu pociągnie? Błysk oka, czy kształt postaci? Dźwięk głosu, czy z za zwyczajnych osłon wyraźniejsze mrugnięcie duszy? Dość, że Idalcia znalazła raz w ogrodzie tę naszą biedną panią Januarową całą we łzach. Mądra, zdaje się, kobiecina, a przyszła i na nią kolej zwykłej głupoty ludzkiej. Nie zważa na to, że łzy piękności szkodzą, i płacze!

— Czemu ja jego, mówi, przed wyjściem za Januarego nie poznałam! Czemu ja tak śpieszyłam się z wyjściem za męża! Gdybym poczekała, spotkalibyśmy się wolni oboje!

Ani wątpiła, że, gdyby nie była mężatką, onby ją pokochał i wziął za żonę. Pod względem podobania się mężczyznom była bardzo pewna siebie i w znacznej mierze miała słuszność, bo takie jak ona niewiasty największy urok na płeć męską wywierają. Odalisy!

— On taki srogi — powiada dalej — nigdy nie zechce okazać, że zakochał się w mężatce! — Mniemała, że pan Seweryn przez surowość zasad tai się z miłością dla niej, i ta właśnie, jak mówiła, *srogość* była dla jej śniegów słońcem roztopiającem.

— Bo co mi z tych ślamazarników, którzy przede mną skaczą, jak wróble na sznurkach! Mam

i bez nich jednego już takiego! Ten — to mężczyzna!

Niekażdy wie, ile różnostronnej, szczerzej prawdy, naturalnej, wyższej, mieści się w takim wykrzykniku kobiety: »Ten — to mężczyzna«.

Nakoniec, ni stąd, ni zowąd, przyczepiła się do panny Róży.

— Wiesz, Idalko — zwierzała się przed moją siostrą — to ta flondra^[29] ogaduje mię przed nim, jestem pewna, że ogaduje i zraża go do mnie!

Wyrażenie było niezbyt wykwintne, ale w rozmowach poufnych pani Iza dość często podobnych używała. Idalka we flondrze domyśliła się panny Róży.

— Kiedyżby miała czas na ogadywanie? — zaprzeczyć spróbowała — zawsze tak krótko z sobą rozmawiają.

— Jednak rozmawiają! Ile razy przyjedzie, zawsze z nią choć trochę porozmawiać musi i, czy uważałaś? przy powitaniu i pożegnaniu w rękę całuje ją zawsze! U stołu też ciągle zwraca się do niej. Jakieś takie uszanowanie nadzwyczajne ma dla niej, i więcej niż uszanowanie, wprost sympatyę. I za co tej starej panie takie uszanowanie okazywać? Jakim sposobem dla takiej zmkłej kury można mieć sympatyę?

— Cóż dziwnego, moja Iziu! Znają się od bardzo dawna!

Pani Januarowa aż piąstki ścisnęła z oburzenia.

— Głupstwa pleciesz, moja Idalcu! Znają się. Pomiędzy człowiekiem z takim stanowiskiem, jak on, a taką pchłą, jak ona, nie może być żadnej prawdziwej znajomości. Głową kiwnąć to już musi, bo przecież i ona jest niby-to kobietą, ale zresztą i spojrzeć mu na nią nie warto!

Spoglądał jednak, i czasem, gdy oczy jego, pomimo niepierwszej młodości pełne blasku i głębi, spoczywały na delikatnym owalu jej twarzy, któremu gładkie pasma czarnych włosów dodawały jeszcze bladeści i ciszy, okazywał się w nich wyraz medytacji^[30], pełnej dobroci, litości i smutku.

Raz w czasie bytności pana Dorszy w Dworach pani Januarowa, wbrew zwyczajowi swemu, w obecności jego do kart zasiadła. Tak się jakoś złożyło, że musiała to uczynić. Gość niegrający w karty rozmawiał z młodziutkim synem pana Januarego i młodszą z dwóch córek, bo starsza już odrazu, z upodobaniem grywała w winta. Po upływie jakiegoś kwadransa pani Januarowa niespokojnie obejrzała się po salonie i siedzącego przy oknie pasierba z żywością zapytała:

— A gdzie pan Dorsza?

Student spojrział w okno i odpowiedział:

— Z ciocią Różą w kasztanowej alei chodzi i rozmawia.

Było to na wiosnę. Kwietniowe słońce osuszyło ziemię, trawy zieloną szczotką dobywały się na całej przestrzeni ogrodu, którego wspaniałe aleje zaczynały zielenić się od rozwierających się pąków i młodych listków. Przy pierwszej sposobności zbliżyłem się do okna i zobaczyłem istotnie parę ludzi, zwolna przechadzających się po jednej z alei. Z powodu odległości nie dostrzegłem ani gestów^[31] ich, ani wyrazu twarzy, tylko za bladezieloną koronką gałęzi widziałem, jak obok wysokiej, silnej postaci pana Seweryna, nakształt wątego cienia, przesuwawała się szara sukienka panny Róży.

Pani Januarowa odezwała się do męża:

— Janusiu, zadzwoń!

A do lokaja, który, dzwonkiem przywołany, wszedł natychmiast, rzekła:

— Powiedz panie Róży, żeby kazała podwieczorek podawać.

Zwykła podwieczorkowa pora jeszcze nie była nadeszła, ale gościnną pani domu zatroszczyła się, widać, aby goście nie uczuli się głodnymi. Niebawem też do salonu wszedł pan Seweryn, trochę chmurny, a jednocześnie powóz jego zajechał przed okna domu.

— Pan już odjeżdża! — zawołała pani Januarowa, widocznie zalterowana^[32].

Pomimo próśb obojga gospodarstwa domu, na podwieczorku nawet nie chciał pozostać i — odjechał. Nie byłoż widocznem, że przyjeżdżał tylko dlatego, aby z tą starą panną o czymś pomówić? Ona zaś, gdyśmy do sali jadalnej weszli, kończyła coś na stole ustawiać; spostrzegłem, że szczupłe ręce jej drżały, i na białych policzkach miała słabe rumieńce. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu oczu pani Januarowej, gdy ogarniała spojrzeniem tę pochyloną nad stołem głowę. Żarzyły się te błękitne i zazwyczaj trochę senne oczy, piekły, gryzły, nienawidziły. Przedtem już w drzwiach jadalni szepnęła do Idalci:

— Pan Dorsza ślicznie sobie przyjaciółkę dobrał! Bardzo stosowna para! Sympatya umieszczona bardzo właściwie i... szczęśliwie!

Siadając do stołu, głośno odezwała się do męża:

— Janusiu, wiesz o nowinie? Pan Seweryn Dorsza oświadczył się dziś o rękę panny Róży!

Nasz poczciwy pan January wytrzeszczył zrazu swoje wypukłe, spłowiałe oczy, lecz, chcąc zasłużyć się żonie, od dość dawna nadąsaney i dla niego zobojętniałej, w ton jej uderzył.

— A wiesz! — w sposób żartobliwy mówić zaczął — wiesz kuzynce! Bardzo rad jestem! Nareszcie! No, już i pora! Kiedyż wesele?

Jakby na dane hasło, zewsząd posypały się żarty. Zygmunt przyskoczył i, piśszczotliwie pannę Różę obejmując, wołał:

— Zatańczy ciocia ze mną na swoim weselu walczyka? A może teraz spróbujemy... dla wprawy!

Starsza z panienek śmiała się:

— Ciotka nam, młodym, świetną partyę odbiera!...

Siostra pani Januarowej, niezła nawet kobiecina, ale zawsze czegoś dla siebie i mnóstwa dzieci swoich od Izi potrzebująca, z cieniutkim śmieszkiem wołała:

— No, panienki, nie desperujcie nigdy! Widzicie, że i do stu lat nie trzeba jeszcze tracić nadziei!

A mąż jej grubym basem i ohydą francuzczyzną huczał:

— *Mie wo tard ke jamais! Szakiun truf son szaken!*^[33]

Pan January, ucieszony uciechą żony, która zanosila się od śmiechu, trochę gapiowato, bo bez rzeczywistej ochoty, zapytywał:

— Jakże to było? Jakże to było?

— Jak było? — powtórzyła pani Januarowa i, ślicznymi rączkami odpowiednie gesty robiąc, prawila:

— Poetycznie, idealnie... o zachodzie słońca, w kasztanowej alei... pomiędzy młodymi listkami przechadzała się młoda para...

— Młoda, to prawda! *Il fo ke la zenes se pas!*^[34]

— Żeby tylko od tego wieczornego spaceru katarów nie podostawali!

— Fi! katar i miłość! Niedobrana para!

— I pomiędzy ludźmi bywają pary niedobrane!

Jak Boga kocham, ani ja, ani siostra moja Idalcia, nie należeliśmy do tego chóru. Co za ochota ni z tego, ni z owego, tak na kogoś napadać! Przytem widziałem dobrze, jak panna Róża przy pierwszym odezwaniu się pani Januarowej podniosła na nią oczy ogromnie przelękzione. Nie rozumiałem, co mogło być przyczyną tak silnego przestachu, ale jakoś żal mi się jej zrobiło. Potem, gdy przekonała się, że są to jedynie żarty, oczyma tylko z pod długiej rzęsy błysnęła, zarumieniła się bardzo mocno i wnet uspokojona, poczęła układać w koszyku ciastka, które Zygmus, do tańca ją niby porywając, rozsypał. W tym błysku oka i w tym rumieńcu wystrzelił na świat gniew, lecz wnet powściągnięty, zniknął, zostawiając tylko po sobie na spokojnie zamkniętych ustach uśmiech bardzo zagadkowy. Możliwe, że śmiała się w duchu z tych, którzy się z niej wyśmiewali: jednak zarazem i cierpiała. Powieki jej drgały, jak bywa zawsze, gdy ktoś z całej siły powstrzymuje się od płaczu.

— Czy widzą państwo, jaka łuna na niebie? Pożar, czy co! — zawołałem, wskazując na okno.

Idalcia zrozumiała mój zamiar i do okna skoczyła.

— Czy nie Koziółki panu palą się, panie January?

Oboje państwo Januarostwo byli już u okna. Koziółki były ich folwarkiem, o parę wiorst od Dworów odległym. Powstało zamieszanie, przyglądanie się niebu, sprzeczka i ostatecznie przeświadczenie, że łuna, którą wziąłem za odblask pożaru, była tylko wyjątkowo ognistym odblaskiem zachodu słońca. Żarty sypnęły się z kolei na mnie. Wogóle w Dworach panowało upodobanie, czy moda, wybierania kogokolwiek z obecnych za cel żartów. Tego lub owego, tę lub ową prześladowano, to zakochaniem się, to nieumiejętnym graniem w winta, to młodością, to starością, to złymi interesami majątkowymi, albo sercowymi niepowodzeniami. Dowcipy strzelały, jak rakiety^[35], śmiechy toczyły się, jak gamy^[36]. Pacyenci^[37], chcąc nie chcąc, śmiali się wraz z innymi, oczyma i myślą poszukując wśród otaczających: kogoby tu co najprędzej na następcę swego wykierować. I nic dziwnego. Dobrobyt, panie mój dobrodzieju, kompletny, czasu wolnego właściwie tyle, ile go od rana do nocy upływa, i towarzystwo domowe, oprócz gości prawie ciągłych, dość liczne.

Zygmus był ładnym, zgrabnym chłopakiem, trochę zanadto przez ojca i macochę rozpieszczonym, bo pani Januarowa przed innymi dziećmi go faworyzowała i z jego przyczyny wpadała nawet czasem w fikcję czy w czułość. Nie należy jednak przypuszczać, aby tu było coś podobnego do historii Fedry i Hipolita^[38]. Broń, Boże! Nasza pani Januarowa była zbyt rozsądna, aby aż takie awantury greckie wyprawiać. Tylko miała do Zygmutusa słabość, a kiedy kobieta ma do kogo słabość, to, panie dobrodzieju, zwiń chorągiewkę z zapytaniem: a za co? a dlaczego? a do czego to dąży? i t. d. Ma słabość i kwita: więc pieści, lula, czem tylko może, osypuje, wychwala, a jak ostatecznie gagatek na tem wyjdzie, głowy sobie tem nie zawraca. Co się tyczy pedagogiki^[39], to można powiedzieć, że naszej kochanej pani Januarowej ona w głowie nawet nie powstała; więc wciąż dudniła mężowi nad uchem: daj Zygmutusowi pieniędzy! pošlij Zygmutusowi więcej pieniędzy! a gdy uczeń, potem student do domu przyjeżdżał, wymyślała dla niego różne przysmaczki, zabawki, siurpryzki^[40]. Zygmus zaś, jak każdy grzeszny człowiek, smaczne kąski życia z natury już lubiący, przytem żywy, wrażliwy, umizgalski, do nauk zdolny, lecz i do zabawy skory, pełnymi nozdrzami wciągał w siebie rozkoszną atmosferę domową i, wyjeżdżając do szkół, potem do uniwersytetu, brał z sobą tak znaczny jej zapas, że czem innym żywić się ochoty mu już nie dostawało. Otóż w gruncie rzeczy nie można powiedzieć, aby ten miły pustak nie lubił panny Róży, która go w czasie wdowieństwa pana Januarowego i potem jeszcze hodowała i pieściła. Owszem, podbieży czasem do niej, pieścizotliwie w oczy spojrzy, kilka słów uprzejmych przemówi; tylko że w dłuższe rozmowy z nią to się nie wdaje, bo macocha nie lubiłaby tego: i jakąż przyjemność takiemu młodzieńcowi

rozmowa z taką starą panną sprawiłyby mogła? Raz kwiatek jakiś, który w rękę trzymał, do szarego stanika jej przypiął i wychwalać zaczął, że bardzo jej z kwiatkiem tym do twarzy. Wszyscy w śmiech! Naturalnie, bo czyż jej cokolwiek mogło już być do twarzy! Innym razem, gdy, zajęta przyrządzaniem sałaty, stała plecami do całego towarzystwa obrócona, zakradł się i zręcznie parę śpilek z włosów jej wyciągnął. Wtedy stało się coś osobliwego. Cudne to były włosy. Gdziekolwiek wiała się w nich nic srebrna, zresztą czarne jak atrament, gęste i bardzo długie, rozsypały się po plecach, spadły poniżej kolan i całą tę watałę, szarą postać okryły lśniącym płaszczem atlasowym. Posiadaczka tych cudów obejrzała się zrazu z przestachem; potem błysk gniewu przemknął po ciemnych źrenicach i zaraz zgasł, rumieniec wytrysnął na chude policzki i zaraz zniknął; pośpiesznym ruchem w obie dłonie włosy zgarnęła, z tyłu głowy w węzeł skręciła, śpilkami, które Zygmunt jej zwrócił, przypięła i ze spokojnie pochyloną głową, sałatę przyprawiać kończyła. A dokoła stołu śmiech ogólny.

— Jezus Maryja, żeby aż tyle włosów na głowie nosić! Czyż to warto, kiedy ich nikt nie widzi?

Istotnie, nikomu dotąd do głowy nie przyszło zwrócić uwagę na to, jakie panna Róża ma włosy.

— Poco cioci takie włosy? — szczebiotała starsza z panienek, panna Kamila. — Niech ciocia mnie je odda, to przynajmniej zdadzą się na cokolwiek!

— Chętnie, moja Kamilko, uczyniłabym to, gdybym mogła — obojętnie odpowiadała panna Róża, siadając na swoim ostatnim miejscu przy stole.

— O, co w to, to nigdy nie uwierzę! — zawołała pani Januarowa. — Nikt nie rozstaje się chętnie z pamiątkami dawnych czasów.

A szwagier, nasz dowcipny i zarówno wesoły pan Faustyn, figlarnie ku pannie Róży mrugając i znacząco chrząkając, podjął:

— Chyba ktośś... ktośś... hm, hm, co to ja wiem, a panna Róża rozumie, długich włosów u kobiet nie lubi. W takim razie trzeba je ostrzydz, trzeba, bo lepiej mieć pięknego męża, niż piękne włosy.

Ten sam pan, nie najgorszy nawet człeczyna, tylko taki sobie totumfacki^[41], który, często na dworze królowej-siostry przebywając i od szwagra pożyczek pieniężnych potrzebując, rad był choć facecjami^[42] wywdzięczać się dobrodziejom, gdy wszyscy przy stole siedzieli, przyszedł z ogrodu z przekwitłą, nawpół już z liści opadłą różą w palcach. W granatowej marynarce i białym muślinowym halsztuku, trochę siwy, trochę łysy, z okrągłą twarzą, mocno od upału zaczerwienioną, przeszedł wzdłuż całą salę jadalną i zwiędły, żółkły kwiat przed talerzem panny Róży w szklance umieścił. Przytem z pociesznym dygiem i umizgiem rzekł:

— *Ski se resampl, s'asampl!*^[43]

Wszyscy w śmiech! W jej źrenicach znowu błysk nagły, szybko pod spuszczone powiekami ukryty.

Z grzecznością kobiety, przyjmującej od mężczyzny drobną przysługę, odpowiedziała:

— Dziękuję panu.

Dokoła znowu śmiech.

— Żeby tak bardzo było za co dziękować, to nie powiem!

— Jeżeli ciocia życzy sobie, to ja po obiedzie cały bukiet takich kwiatów cioci przyniosę!

— Przynies i postaw przed portretem Mickiewicza.

— Albo lepiej przed szafką z książkami!

Portret, jak portret, uchodził jeszcze, bo pomimo rozsądnej atmosfery^[44], dom ten napełniającej, tak wielkiego imienia do żartów używać nikt nie miał ochoty, ani może śmiałości; lecz szafka z książkami dawała temat do wielu facecyi. Powiadano, że była wypchana poezyami, na cały pokój pachnącemi.

— Wchodzę do pokoju panny Róży — opowiada pani Januarowa — cościć pachnie! Co to? Konwalie, mirt, ananas...

— Tymianek, lilia, hyacynty — podpowiada ktoś bieglejszy w nomenklaturze^[45] botanicznej.

— Jakiś bardzo staroświecki zapach! Coby to mogło być? Szukam i przekonuję się, że to przez szczeliny szafki tak pachnie — poezya!

Czasem zapytywano pannę Różę: czy dlatego ma zaczerwienione oczy, że późno w noc czytała poezye? Ilekroć pani Januarowa uczyła się niezadowolona z jakiego szczegółu gospodarskiego, ze wzruszeniem ramion i swoim ładnym grymasikiem mawiała:

— To poezye temu winne!

Raz nawet pan January, rozgniewawszy się za niedość dobrze przyrządzony pasztet do śniadania, ze spojrzaniem, rzuconem w stronę panny Róży, krzyknął:

— A wszystko to z powodu tych poezyi!

Raz też z powodu tych poezyi zaszła scena, o której, wspominając, rumienię się nie na twarzy, proszę państwa, ale w duszy. Było tak. W Dworach oprócz domowego towarzystwa znajdowały się tylko cztery przyjezdne osoby: siostra pani Januarowej z mężem i ja z Idalcją. Byliśmy więc w swoim kółku i zauważyliśmy, że nasza kochana pani Januarowa czuje się jakoś bardzo niedobrze. Nie żeby była — broń Boże — chora: owszem, nigdy zdrowiej i świeżej nie wyglądała, ale jakaś irytacja^[46], zły humor, nieukontentowanie ze wszystkich i ze wszystkiego. Męża raz po raz przestrzegała; na pasierbicę to już wprost co moment fukała; w winta grała jak najgorzej i za własne omyłki mnie biednemu parę razy porządnie głowę zmyła. Gdyby nie uszanowanie, należne dla damy z takim stanowiskiem w świecie, tak ładnej i gościnnej, powiedziałbym, że była wściekła. Mój Boże! taka ładna, majątna, rozsądna kobieta i — wściekłość! To, poprostu, zepsuta linia! Szkoda, ale cóż robić, skoro doskonale prostych linii pomiędzy ludźmi znaleźć niepodobna. Ściana będzie prostą, drzewo czasem będzie prostem, drożyna w ogrodzie, gdy ją ogrodnik pod sznur wytknie, prościutko przerznie murawę. A człowiek — nie! Żeby tam nie wiem jak był rozsądny, zastanawiający się, unikający fikcyi, zawsze znaleźć się musi coś takiego, co jego linię w jedną, lub drugą stronę wykrzywi. A najwięcej namiętność, najwięcej, panie dobrodzieju, namiętność... Tak i tu było; wbiła sobie kobieta ćwiek w głowę, tego pana Seweryna, który jak nie przyjeżdżał, tak nie przyjeżdżał, i drugi jeszcze ten, a to, że panna Róża temu winna, bo ją przed nim ogadała... tam wtedy, po kasztanowej alei z nim chodząc, ostatecznie ogadała. Przytem Idalcja szepnęła mi przy sposobności, że Izi czułości pana Januarego okropnie się już przykrzą. — Czuli się do mnie coraz więcej — opowiadała powiernicy — a ja o tamtym myślę! Więc mnie wszystkie złości i desperacje ogarniają!

No, naturalnie; ale z drugiej strony było w tem trochę kobiecego marzycielstwa. Czułości przykrzą się? — dobrze; a Dwory z przyległościami? Jakkolwiekby, późno w wieczór po wieczery, gdyśmy skończyli ostatniego na dziś roberka^[47], pani Januarowa oddaliła się z salonu i, po kilku minutach powróciwszy, cała w ogniu i śmiechu przed nami stanęła. Śmiała się, a z oczu i nawet ze śmiechu iskry sypać się zdawały.

— Chcecie państwo literatkę zobaczyć? Prawdziwą literatkę? Żeby jej nad uchem wystrzelić, nie usłyszy: taka zaczytana! Dlatego to przekąski dotąd nam nie podano. Komedia! Chodźcie, państwo, chodźcie tylko, zobaczyć!

Tak bardzo prosiła, żeśmy wszyscy wstali i poszli. Pan January mruknął zrazu:

— Dajżeż pokój tylko! Co tam ciekawego?

Ale ona odpowiedziała:

— Mój Janusiu, tylkoż bez tych kaprysów! — Więc także wstał i poszedł. Przeszliśmy jadalną salę, inny jeszcze pokój, i inny jeszcze, aż znaleźliśmy się przed otwartymi drzwiami pokoju panny Róży. — Nic osobliwego. Ściany oklejone pstrem obiciem, łóżko białe zasłane pod ścianą, skrzynka pełna kluczy na komodzie, w kątku oszklona szafka z książkami... ta sławna! — i tylko jedna rzecz uderzająca: głęboka cisza. W tym domu gwarnym, od rana do wieczora rozlegającym się brzękiem szkła i talerzy, rozmowami, śmiechami, gościnnymi powitaniem, wintowymi wykrzyknikami, pokój ten wydawał się oazą^[48] takiej ciszy, że słyhać było, jak za oknem stara topól w wietrze nocnym liśćmi szeleściła. W tej ciszy i w tym szeleście, jak raz naprzeciw drzwi, w których stanęła wesola nasza kompania, wisiał na ścianie sporej wielkości portret Mickiewicza, i przy stole, w łagodnym od błękitnawej zasłony świetle lampy siedziała panna Róża. Profilem^[49] ku nam zwrócona, z łokciem o stół opartym i czołem trochę na dłoń pochylonem, oczy miała utkwione w leżącej przed nią książce. Drobne jej wargi były spokojnie zamknięte, profil z wypukłością bladej kamei^[50] odrzynał się na tle błękitnawego światła, które pogłębiało czarność włosów i dawało srebrny połysk wijącym się wśród nich białym niciom. Była tak zatopiona w czytaniu, że nadejścia i szeptów naszych zrazu nie usłyszała. Prawda, że szepotaliśmy bardzo pocichu.

— A co? nieprawdaż, że dla malarza model^[51] na literatkę!

— I jaką! o Bożym świecie, czytając, zapomniła.

— A jakie księżycowe światło u siebie urządziła!

— »Już księżyc zaszedł, psy się uspiły«...

— Tylko że »Filon« to już pewnie żaden nie kłaśnie za borem!

— Kto wie! Ja może coś w tym rodzaju wiem!

— Ciekawość, co ona takiego czyta?

— Pewno coś czułego!

— »Maryo, czy ty mię kochasz, bo masz taką postać!«...

— A może Darwina^[52] o pochodzeniu człowieka od małpy?...

Autorem ostatniego konceptu był szwagier pani Januarowej, która parsknęła śmiechem; ktoś inny zaśmiał się też głośno. Wtedy dopiero panna Róża, jak ze snu obudzona, drgnęła, ku nam twarz obróciła, a ujrawszy trzódkę baranów we drzwiach stłoczoną, szybko z krzesła powstała.

— Czy czego trzeba?

— Niczego, niczego nam nie trzeba! Jesteśmy tylko zaciekawieni, w czym panna Róża tak głęboko się zaczytuje?

— Czy to »Marya« Malczewskiego?

— A może »Adolf i Marya«, czyli dwoje kochanków nad brzegiem Dniestru?

— Ej, nie! Ciuńdziewicz pewno, albo Ówierciakiewiczowa^[53].

— Poco to kuzynka wiecznie w tych książkach siedzi i tylko powód do żartów z siebie daje? — markotnie zagadał pan January.

Wszystko to mówiąc, wtargnęli do pokoju i otoczyli ją ścisłym kołem. My tylko z Idalcią zostaliśmy we drzwiach i najbliżej nas młodsza z panienek, Marynia. Tamci zaś gadali jak najęci:

- Proszę pokazać, co pani czyta!
- Proszę lepiej trochę nam głośno poczytać!
- Dobry projekt! Niech pani nas zbuduje, panno Rózo!
- Albo rozrzewni...

Ona, zrazu jak bywało zwykle w podobnych wypadkach, oblała się rumieńcem i błyskawicą strzeliła z oka; lecz zaraz spokojnie wzięła ze stołu otwartą książkę. Tylko na cienkich wargach miała ledwie dostrzegalny, ciekawy uśmieszek, który zauważyłem nieraz, a który zdawał się litościwie drwić z tych, co z niej drwili.

- Aha! przeczyta nam pani stroniczkę o Adolfie i Maryi...
- A może o sztuce mięsa z parmezanem...
- Niech państwo już cicho będą! Słuchamy!
- Słuchamy! Słuchamy!

Z takim lekkim ukłonem, z jakim zazwyczaj dobrze wychowaną kobieta przystaje na objawione jej żądanie, Róża rzekła:

- Owszem. Jeżeli państwu sprawi to przyjemność, przeczytam.

I głosem zrazu cichym, potem coraz pewniejszym i nabierającym dźwięków wcale miłych i dobitnych, czytać zaczęła:

»W Tobie ja samym, Panie, człowiek smutny,
Nadzieję kładę; Ty racz o mnie radzić.
Nieprzyjaciół mój, jako lew okrutny,
Szuka mej duszy, aby ją mógł zglądzić...
Z jego paszczyki, jeśli, o mój Boże,
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mnie nie wspomże«.
...»Boże, przed którym tajne być nie mogą
Myśli człowiecze, w Twej stając obronie,
Przed żadną nigdy nie ucieknę twogą,
Bo szczere serce w Twojej jest zasłonie.
O, sprawiedliwy Sędzio, Ty każdego
Sprawnie obdzielasz, wedle zasług jego«...

Nie w takim to ja porządku powtarzam, co czytała, i nie wszystko, chociaż potem psalmu tego próbowaliśmy oboje z Idalcią na pamięć się wyuczyć, ale co pewna, to, że słuchając, staliśmy wszyscy, jak głąby, z gębami pootwieranymi. — Bo jakże! W pokoju cicho tak, że słyhać, jak za oknem topól szumi, parę gwiazd złotych z ciemności nocnej przez szyby zagląda, że ściany patrzy oblicze Mickiewicza, a w błękitnawem świetle kobiecina wątła i delikatna, z węzłem czarnych włosów z tyłu głowy, z książką w obu rękach, coraz śmielej i piękniej wylewa z białych ust nuty słowika z Czarnolasu^[54]... Powiadam państwu, że fetę nam sprawiła! Zabełkotaliśmy też coś ni w pięć ni w dziewięć, gdy umilkła, i wynieśliśmy się do dalszych pokoi. »Duchom naszym dała w twarz« i wynieśliśmy się skonfundowani. Tylko przy ogólnem oddawaniu »dobrej nocy«, patrzę ja, co to takiego? Zygmus i Marynia mają jakieś takie dziwne oczy, omglone i markotne, ni to rozmarzone, ni to zmartwione.

A pan January tak, aby małżonka nie słyszała, do ucha mi szepnął:

— To ja jej tę książkę na pamiątkę po Bronku oddałem. Zaręczeni byli... a jakże! święta prawda!

że byli z sobą zaręczeni, prawie od dzieciństwa kochali się! Szczęście ją minęło, i potem nigdy

się już z żadnym nie spotkała.

Owszem, dowiedzieliśmy się niebawem, że się spotkała, tylko... Ale niechże wszystko po kolei już opowiem!

Po owej rozmowie z panną Różą pod kasztanami pan Seweryn długo do Dworów nie przyjeżdżał. — Wiosna przeszła, lato nastąpiło, Zygmunt oddawna już na wakacje do domu przyjechał, a szanowny sąsiad, tak oczekiwany, przyjeżdżać ani myślał — właśnie może z powodu tego oczekiwania, bo zbyt doświadczony był i rozumny, aby nie spostrzedz w zachowaniu się pani Januarowej tego lub owego szczegółu, z którym — *srogim*, lepiej mówiąc, surowym będąc — nie wiedziałby, co czynić. Jednak pewnego dnia nakoniec przyjechał, i trzebaż nieszczęścia, wtedy właśnie, kiedy biedna nasza pani Januarowa była znowu silnie zalterowana tym razem całodzienną nieobecnością w domu panny Róży. Ta zrana jeszcze oznajmiła, że do wieczora w domu nie będzie, klucze powierzyła Maryni i gdzieś sobie poszła. Wszyscy pamiętali, że takie całodziennie wycieczki zdarzają się jej czasem; Marynia utrzymywała, że raz na rok tylko. Rządca powiedział, że spotkał się z panną Różą u brzegu lasu, w którego głębi znikła mu z oczu, co usłyszawszy, pan January sapnął głośno, chrząknął nieśmiało i do żony rzekł:

— Daj pokój, rybko! ja wiem, dokąd ona poszła. Niech zdrowa spaceru użyje! Wielka rzecz, że tam raz na rok...

Żona mu przerwała.

— Janusiu, tylko bez tego ujmowania się! Zawsze ujmujesz się za nią. Ta kobieta ma szczęście! Wszyscy kochają się w niej, może i ty także. Trzeba tylko było pierw serce zbadać, w którą stronę ciągnie, a ja pewno nie stanęłabym do rywalizacji^[55]... z taką! Wiesz, gdzie poszła! I ja też wiem! Osiem lat już jestem w Dworach i co roku tę samą czułą historię słyszę! Głupstwo! Przypomniała sobie babka dziewięć wieczór. W jej wieku należałoby już o tych wszystkich fikcyjach zapomnieć! Cały Boży dzień dom bez gospodyni, bo przecież Kamilka i Marynia nie będą po kuchniach i spiżarniach latać, ażeby jeszcze ludzie powiedzieli, że macocha je na dziewczki folwarczne obraca...

Marynia zauważyła, że wszystko jest zadysponowane i wydane, i pani Januarowa zaraz na nią wpadła:

— Ty też buzię za cioteczką otwieraj! Zastąpić ją może potrafiisz? Do gospodarstwa dużo ochoty zawsze miałaś, prawda? Hafciki ci w głowie, muzyczka, kawalerowie, nie gospodarstwo! Ja też nie napędzam. Cóż? macochą jestem! Ludzie zaraz powiedzą, że prześladowuję, gnębię. Ale ciekawam, co zrobisz, jeżeli kto z gości przyjedzie? Cioteczka po nocach poezje czytuje, a we dnie po lasach się wałęsa; ty zaś kluczami dzwonić tylko umiesz. Niechże kto z gości przyjedzie: zobaczymy, czy, jak kluczami podzwonisz, wszystko będzie, jak potrzeba!

Jak raz przyjechał. I któż jeszcze? Sam pan Seweryn Dorsza, którego dom po pańsku urządony skłaniał sąsiadów do odpowiednich w przyjmowaniu go występów. Teraz już i pan January uczuł się niezadowolonym, że panny Róży w domu niema. Wiedział, że żona i córki do niczego w gospodarstwie się nie mieszają, służba bez dozoru omyłki popełniać może, a takie rzeczy stanowiły dla niego i wogóle w Dworach kwestyę niemałą, owszem, pierwszorzędnej wagi. Marynia przed zaproszeniem do stołu tak gorliwie kluczami dzwoniła, że aż do różyczki miesięcznej stała się podobną; jednak wystarczyło jednego rzutu oka, aby dostrzedz, że melon był źle pokrajany, filiżanki do kawy nie takie, jak potrzeba, świeżo przyjęty lokaj bez białych rękawiczek, może jeszcze i inne tym podobne rzeczy chybione i niedoskonałe. Pan January irytację ukrył i tylko głośniejsz niż zwykle sapnął; ukryłaby zapewne i pani Januarowa, gdyby nie znalezienie się samego pana Seweryna, w najwyższym stopniu niestosowne. Za ledwie do podwieczorku zasiadł i właśnie w chwili, gdy ładna gosposia z pękiem gwoździków w złotych włosach i z najmiłszym uśmiechem zaczęła czynić mu wyrzuty, że tak długo przy tym stole go nie widywała, spojrzał na puste krzesło panny Róży

i zapytał:

— Jednej osoby z towarzystwa państwa nie widzę. Może chora?

Zdawać się mogło, że silnie zaniepokojonym czuł się myślą, że może być chora, i to właśnie naszą, tak rozsądną zwykle, panią Januarową z równowagi wytrąciło. Porywczo i bez namysłu odpowiedziała:

— Gdzie tam! zdrowa, jak ryba, tylko poszła do lasu z nieboszczykiem narzeczonym romansować!

Gdyby była chwilkę namyśliła się, nie byłaby tych słów wyrzekła, bo przecież wiedziała, co, jak i przy kim mówić wypada, ale krew nie woda: irytacja! W irytacji natura właściwa człowiekowi wyskakuje z niego, jak wilk z lasu. Pan Dorsza skrzywił się, jakby go coś we środku ukłuło, bo gburowatości wszelkiej strasznie znosić nie mógł, a pan January, chcąc naprawić niestosowne odezwanie się żony, ubolewającym tonem do sąsiada przemówił:

— To smutna historia... bardzo smutna...

— Znam ją dobrze — odpowiedział pan Seweryn.

— Jest to rocznica dnia, w którym wszyscy pożegnaliśmy odjeżdżającego...

— Wiem o tem — odrzekł znowu pan Seweryn, coraz bardziej zasępiiony i sztywniejący.

Panią Januarową ton ubolewający męża i sztywność gościa, jak śpilki, kłuły. Jednak z wielką słodyczą w głosie przemówiła:

— Mój Janusiu, tak o tem mówisz, jakby ten tragiczny wypadek zaszedł miesiąc albo rok temu. Panna Róża jest już tak... Działo się to tak dawno...

Szwagier wpadł jej w mowę. — *Le kier na pa de ryt*^[56].

A ja ośmieliłem się wyrazić uwagę.

— Pamięć bywa różna, pani dobrodziejko: jedni pamiętają miesiąc, rok, inni przez całe życie zapomnieć nie mogą.

Pani Januarowa, strażę morderczą we mnie z ócz ciskając, prędko odpowiedziała:

— Szczególniej, jeśli nic innego do pamięci wpaść nie mogło!

— Owszem, tym razem mogło — odezwał się znowu pan Seweryn.

Pani Januarowa z prawdziwie czarującym uśmiechem do niego przemówiła:

— Przecież odkąd pan Bronisław odjechał, o pannę Różę nikt się nie starał, i za męża wyjść nie mogła.

— Owszem, mogła — powtórzył pan Dorsza.

Ogromnie tem powiedzeniem nas wszystkich zadziwił, bo istotnie o żadnym konkurencie do ręki panny Róży nikt z nas nigdy nie słyszał. On zaś milczał chwilę, namyślał się, a potem łyżeczkę od kawy na spodku położył i tak poprostu, jakby komu dzień dobry mówił, wypowiedział:

— Ja trzy razy oświadczałem się o rękę panny Róży, i trzy razy odmowę otrzymałem.

— Jezus Maryja! — podskakując na krześle, jęknął pan January.

Pani Januarowa stała się tak białą, jak obrus na stole; świeże jej rumieńce do kropelki z twarzy zniknęły. A ten najzacniejszy (i najbogatszy!) pan Dorsza najzwyczajniejszym tonem mówił dalej:

— Muszę to państwu opowiedzieć, aby omyłkę usunąć. Panna Róża mogła od lat wielu i dziś mogłaby, gdyby chciała, zostać moją żoną i panią domu w moim Tęczowie. Nie chciała i nie chce. Może wiadomość o przyczynach, które jej wolą kierują, opinię państwa o niej poprawi, w oczach państwa ją podniesie, położenie, które zajmuje tu, polepszy. O to mi idzie tylko...

Do pana Januarego się obrócił:

— Pan dobrodziej przypomina sobie, że z bratem pańskim Bronisławem żyłem w przyjaźni serdecznej. Narzeczoną jego znałem; podobała mi się, ale się w niej nie kochałem, i tyle tylko, żeśmy stanowili trójkę przyjaciół. Była to trójka romantyków. Mieliliśmy wiele wiary, miłości i nadziei; Broniek za nie głową nałożył, ja poszedłem na długo tułać się po szerokim świecie, panna Róża została sama. Powróciwszy z wędrówki, pojechałem zaraz do Dworów, aby dowiedzieć się o losach narzeczonej przyjaciela. Były one podówczas względnie dobre. Z pierwszą panią tego domu w przyjaźni i harmonii^[57] żyła, i jakkolwiek przez to, co się stało, przyćmiona, była jeszcze świeżą, kwitnącą...

— Czy była kiedykolwiek kwitnącą? — zapytała pani Januarowa z cicha, bo coś ją w gardle dławic zaczynało. Pan Dorsza, spokojnie na nią patrząc, powtórzył:

— Była śliczna. Nietyle może doskonale piękna, ile pełna wdzięku i życia. Była żywa i wesoła. Pani z trudnością temu wierzy? Prawda; jest ona teraz tylko cieniem samej siebie. Ale nierzadko zdarza się na świecie, że człowiek długo idzie za samym sobą, jak cień wierny i ciemny pełnie w noc księżycową za wesołym i zważym człowiekiem. I bywa, że gdy człowiek właściwie już przeminął, cień jego długo jeszcze trwa. Ale w czasie, o którym mówię, panna Róża znajdowała się w kwiecie młodości, a młodość to taki ptak, który z za najgrubszych murów jeszcze słońca dopatrzy i choć z ołowiem na skrzydłach jeszcze ku niemu wzbijać się próbuje. Uśmiechnęła się do mnie myśl wspólnego z tą kobietą rozpędzenia chmur i wzbijania się ku słońcu. Pokochałem ją i w siódmą rocznicę odjazdu Bronisława na tem miejscu, na którym ostatni raz go pożegnała — na którym dziś znajduje się zapewne — powiedziałem jej, że uczyni mnie niewypowiedzianie szczęśliwym, jeżeli zechce zostać moją żoną.

— I cóż? I cóż? — zapytywały dokoła stołu głosy, ledwie dyszące od zdziwienia i ciekawości, a pan Seweryn tonem zwyczajnego opowiadania mówił dalej:

— Odmówiła. Płakała, dziękowała mi za dobre dla niej uczucia i chęci, ale wciąż powtarzała: nie mogę! Tak kocham go jeszcze, tak nieustannie stoi mi on przed oczyma... tak kocham go, że nie mogę! Potem jeszcze dodała: tak mi go żal, tak mi go żal! I mówiąc to, płakała tak ciężko, jakby łyż z męką niezmierną dobywały się z samego dna jej serca... Odmówiła.

Spuszczonemi powiekami wzruszenie żrenic okrywając, nietylko spokojny, ale trochę sztywny, pan Seweryn do pana Januarego znowu mowę zwrócił:

— A po raz drugi zdarzyło się to wówczas, gdy wieść mnie doszła, że pan dobrodziej w powtórne związki małżeńskie wstąpić zamierza. Byliśmy już oboje, ja i panna Róża, daleko starsi, lecz jeszcze nie starzy. Ja miałem lat czterdzieści parę, a ona trzydzieści kilka. Przyjechałem, znalazłem ją przygotowującą dom na przyjęcie nowej jego pani, i w ogrodzie powtórzyłem to, co przed kilku laty mówiłem w lesie. Przychylniej odpowiedzi pragnąłem niemniej niż przedtem: owszem, zapewne silniej, bo słońce mego życia przeszło już punkt południowy i rzucać zaczęło na świat smugi melancholijne; czułem zalatujący powiew wieczoru; tkwiło we mnie głębokie i niepozbyte pragnienie stworzenia przed nocą dla siebie i dla niej cichej i ciepłej przystani. Byliśmy zresztą w wieku najlepiej sprzyjającym energicznej, wspólnej pracy, a także tym uczuciom, które głębią i trwałością wynagradzają to, co im z zapалу młodzieńczego ubyć mogło. Wszystko to przedstawiłem panie Róży — i tym razem, śmiem pochlebiać sobie, że słowa moje ją wzruszyły. Zdawało mi się, że był moment, w którym wyrazy zgodzenia się na moją prośbę rozlegały się w jej sercu i przemocą na usta wybiedz chciały. Nie wymówiła ich jednak; prosiła o parę dni do namysłu. Po dwóch dniach przyjechałem znowu: znalazłem ją mizerną, pobladłą, tak wyglądającą, jakby z ciężkiej choroby powstała. Ale gdy o decyzję ją zapytałem, wzrok jej błagał mnie o przebaczenie,

a głową przecząco wstrząsała, długo mówić nie mogąc. Potem mówiła, że gdyby Broniek umarł był w sposób zwyczajny, to może... ale tak... »Jemu śmierć przedwczesna i męczeńska, a mnie życie szczęśliwe: cóż to za sprawiedliwość! Nie mogę! To mój święty! Nie odstąpię go nawet dla najlepszego z ludzi«. Było to już coś innego, niż wprzódy. Oblubieniec namiętnie kochany, uległ metamorfozie^[58]; fale tęsknot i myśli przekształciły go w świętego, a dusza, umiejąca czcić i rozumieć świętość, nie chciała wyrzucić jej z siebie wzamian ziemskiego szczęścia, którego jednak pragnęła. Z umarłymi walczyć trudno. Odjechałem zwyciężony.

Niepodobna mi nawet wyobrazić sobie, jaką minę mieć mogłem, wszystkiego tego słuchając, to tylko wiem, że ze trzy razy chustkę do nosa z kieszeni wyjmowałem. Co schowam, to znowu potrzebna. Patrzę, aż u tego pustaka Zygmunia źrenice jak z za szybek, pomiędzy powieki wstawionych, przeglądają, kończyk wąsika w palcach kręci, wyprostowany jak struna, i z za szybek szklanych, które nieruchomo w oczach stoją, w pana Dorszę, jak w tęczę, się wpatruje. On też, nie wiem dla jakiej przyczyny, do Zygmunia i do mnie teraz mówę zwrócił i ciszej, niż przedtem, dodał:

— Bohaterstwem duszę jej podbił na zawsze. W aureoli^[59] świętego przed nią stał, i jak wierny od ołtarza, od obrazu tego oderwać się nie mogła.

— Wierna! — pomimo woli wymówiłem.

— Tak, ale na wszystko jest pewna miara. Siła serca, które pamięta i cierpi, wyczerpaną być może. Osiem lat znowu minęło. Wieczór zapadać począł. Czas wrzyna się w człowieka, jak piła w miąższ drzewa...

Zwrócił się do pana Faustyna.

— Pan dobrodzieju się myli: *Le cœur a parfois des rides*^[60].

Pan Faustyn ze zmieszania aż zakręcił się na krześle.

— Ja... panie dobrodzieju, powiedziałem to tylko tak sobie... *an parantesss!*^[61]

A pan Dorsza znowu głównie do mnie i do Zygmunia mówić zaczął:

— Ale czasem serce zmęczone więcej jeszcze słodczy i ukojenia pragnie, aniżeli świeże. A cóż może być słodsze nad otoczenie kobiety dobrej i kochanej serdeczną przyjaźnią i opieką? Prawda, że słońce nasze spłynęło już ku zachodowi, lecz mogą być jeszcze cudne ciche godziny o pogodnych zorzach wieczornych. Więc około trzech miesięcy temu, w czasie ostatniej bytności mojej w Dworach ponowiłem wobec panny Róży gorącą prośbę moją.

Oczy pani Januarowej stawały się prawie obłąkane. Więc to, co wymyśliła, jako złośliwą i nieprawdopodobną drwinę, było tak ściśle prawdziwym!

— Tym razem spotkałem się znowu z czem innym. Panna Róża powiedziała mi, że jeżeli dotąd pamięcią i sercem pozostała wierną swemu... świętemu, to już rozstawać się z nim dla tej odrobiny czasu, który pozostał jej na ziemi, wprost nie warto. Powiedziała, iż tak długo już żyje ze swoją samotnością i ze swoim smutkiem, że stały się one drugą jej istotą, nawyknieniem, treścią życia, których wyrzucić z siebie i zastąpić czemś wcale przeciwnym niepodobna. Powiedziała, że według słów jednej z ulubionych swych ksiązek, tak już dawno »żyje w cieniu śmierci«, myśląc często nie tylko o tamtej, ale i o swojej, jako o wolnym wzlocie czegoś w niej niewiadomego w coś poza nią niewiadomego, co wielkie jest i niezmierzone, a upragnione już przez to, że musi być czemś wcale innym, niż wszystko, co jest tu. A z tego cienia, kto długi moment w nim przebędzie, niepodobna już wyjść na pełne światło, i z takich myśli, kto długo z niemi przestawał, niepodobna wejść w krąg szczyrych uciech... To mi powiedziała i... zawołana przez lokaja, odeszła, aby podwieczorkiem państwa zarządzić...

Tu załamał się jakoś głos pana Seweryna: umilkł, a z tego milczenia korzystając, oddawna już wzburzony i silnie na twarzy zaczerwieniony nasz kochany, tłuściuchny pan January przypodniósł się

na krzesło, ręce gościa w swoje pochwycił i wstrząsając nimi, prawie chlipiąc od płaczu, mówić zaczął:

— Ja pana dobrodzieja bardzo, bardzo za kuzynkę moją przepraszam... Zaczności kobieta, że tak o nieboszczyku Bronku pamięta, ale takiego, jak pan, człowieka obrażać, takie szczęście odrzucać — jakże można! jakże można! Niech pan dobrodziej wierzy, że ja o niczem nie wiedziałem, bo gdybym był wiedział... przecież spokrewnienie się z panem dobrodziejem byłoby dla mnie zaszczytem, przyjemnością... Teraz, dowiedziawszy się, kuzynce mojej uczynię gorzką, gorzką wymówkę, a pana dobrodzieja raz jeszcze przepraszam za nią, bardzo, bardzo prze...

Wtem: »Zagrzmiało, runęło w Betleem ziemi!« Pani Januarowa, nie czekając końca przemówienia mężowskiego, wstała od stołu, ale w taki sposób, że krzesło posunęło się za nią z grzmotem i z wielkim stukiem na ziemię upadło. Poczem ona sama dziwnie jakoś krzyknęła i wybuchnęła wielkim jakimś śmiechem. Pokazało się, że *globus hystericus*^[62], który od początku tej rozmowy ciągle ją dławił, zupełnie teraz do gardła włożył, i dostała pierwszego w życiu napadu spazmów^[63]. Więc Idalcia, pan Faustyn i inni, pod ramiona ją schwyciwszy, do dalszych pokoi uprowadzili, pan January około posyłania po lekarzy się zakrzętnął, pan Dorsza odjechał, a w jadalnej sali tylko Zygmus i Marynia, pod oknem siedząc, coś do siebie szeptali, i ja, przy stole wciąż na jednym krzesle, jak skała, tkwiłem. Od tego, com słyszał, w głowie mi się przewracało, i nietylko w głowie. Z zadumy wyrwać się nie mogłem.

Nagle Zygmus zerwał się od okna i pędem strzały z pokoju wyleciał. Marynia także, spojrzawszy przez okno, zerwała się i, jak błękitny ptak, szybko wyfrunęła. Myślę sobie: co oni takiego na dziedzińcu zobaczyli? Czego tak polecili? Wstałem też, do okna podszedłem i — co państwo myślą, że zobaczyłem? Oba te dzieciaki leciały na spotkanie panny Róży, która właśnie w bramę dziedzińca wchodziła. Niosła z lasu więź liliowych dzwonek i świecących jak słońce żółtych arnik. Lecz kwiaty te wysypały się jej do stóp, gdy ten pustak Zygmus porwał jej ręce i, nisko schylony, tak całować je zaczął, jakby w te pocałunki całą duszę swoją wlewał. A Marynia ze swej strony oba ramiona zarzuciła jej na szyję i błękitną bluzką, jak promiennym obłokiem, do jej szarej smutnej sukni przylgnęła.

K O N I E C.

PRZYPISY:

[1] Nazwa jednego z największych brylantów na świecie.

[2] Rozmowa.

[3] Na widoku.

[4] Stanowisko.

[5] Rodzaj.

[6] Życzliwość.

[7] Zjawisko, wyjątek.

[8] Tak mija sława świata.

[9] Wzruszył.

- [10] Sprzeczności, przeciwności.
- [11] Materiał wełniany.
- [12] Ojca.
- [13] Ułuda, zmyślenie.
- [14] Niewyczerpana.
- [15] Zamiarów.
- [16] Lekki obłąd, mania.
- [17] Gra w karty.
- [18] Sprowadzony.
- [19] Gra w karty.
- [20] Spis.
- [21] Upadek ducha.
- [22] Brak wiary, odrzucanie istności Boga.
- [23] Odrzucanie narodowości i miłości kraju.
- [24] Przygnębiający smutek.
- [25] Oszustwo na wielką skalę.
- [26] Wydatkować.
- [27] Zarządza, kieruje.
- [28] Podziwialiśmy.
- [29] Wyraz, oznaczający istotę nieporządną.
- [30] Zamyślenia.
- [31] Ruchy.
- [32] Zaniepokojona, wzruszona.
- [33] Lepiej późno, jak nigdy. Każda znajdzie swego.
- [34] Trzeba, aby młodość wyszumiała.
- [35] Fajerwerk, rodzaj strzału, rozrzucającego sztuczne ognie.
- [36] Stopniowanie tonów w muzyce.
- [37] Poddany kuracyi.
- [38] Bohaterowie podania greckiego, w którym macocha kocha się w pasierbie.
- [39] Nauka o wychowaniu.
- [40] Niespodzianki.
- [41] Poufały.
- [42] Żartobliwe opowiadania.
- [43] Co jest podobne, to się łączy.
- [44] Tu: nastrój.
- [45] Nazwy.
- [46] Gniew.
- [47] Partya, część gry.
- [48] Urodzajna miejscowość wśród pustyni.
- [49] Bokiem twarzy, profil — zarys twarzy, widzianej z boku.
- [50] Rzeźba na muszli, mająca tło innej barwy.
- [51] Wzór.
- [52] Uczony przyrodnik angielski.

[53] Książki kucharskie.

[54] Jan Kochanowski.

[55] Współbiegania się.

[56] Serce się nie starzeje (nie ma zmarszczek).

[57] Zgodzie.

[58] Zmiana, przeistoczenie.

[59] Świetlana obręcz nad głowami świętych na obrazach.

[60] I serce ma niekiedy zmarszczki.

[61] Nawiasem.

[62] Nazwa choroby nerwowej.

[63] Płacz nerwowy.



[The end of *Panna Róża* by Eliza Orzeszkowa]